

Jacek Sieradzki

KLAUNI I MORALIŚCI

INTERMEDIA

Porządkując notatki ze spektakli minionego sezonu, wróciłem na chwilę do *Męża i żony*, komedii Aleksandra Fredry wystawionej w warszawskim Polskim. Jednej z trzech – na cały sezon i cały kraj! – inscenizacji którejsz ze sztuk wielkiego komediopisarza. Już nikt lub prawie nikt nie potrafi się tymi brylantami cieszyć; warszawski spektakl tylko to potwierdza. Jarosław Kilian przeniósł akcję w lata trzydzieste XX wieku. Wielu przed nim tak robiło, chcąc krótkimi spódniczkami i dixielandową muzyką dodać pieprzu erotycznym perypetiom. Tu jednak szło o co innego: by z radia doleciał kawałek mowy Becka, tej o honorze, i żeby w finale wyły już syreny zwiastujące naloty drugiej wojny.

Przejrzałem recenzje i trochę zaparło mi dech: komentatorzy karnie stali na baczność. *Tak oto kończy się degradowanie uczuć, moralne kręctwo i fałszywa obyczajowość. (...) Powszechny upadek moralny i obyczajowości (szczególnie upadek miłości) jest zwiastunem większej katastrofy; przesilenia, po którym przez świat czeka wielki kataklizm* (Wiesław Kowalski). „*Z kogo się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie*” – jak chciał *Nikołaj Gogol*. (...) *Tańczących w stylowym salonie z lat trzydziestych XX wieku zaskakuje wybuch drugiej wojny światowej. Coś się zmienia, nadchodzi katastrofa, zwiastun śmierci, zniewolenia i upadku. A oni tańczą wciąż ten sam bezduszny taniec*. (Kinga Woźniak). *Dziś, gdy stopienie zmysłu moralnego zatacza coraz szersze kręgi, na beztrioskie zdrady męża, żony, przyjaciela domu i pokojówki patrzymy z początku ze śmiechem, potem jednak ze zgrozą. Taka była niewątpliwie intencja autora*. (Hanna Karolak). *Mirosław Winiarczyk najlepiej: jeszcze mało mu powagi. Aktorzy zbyt szybko klepią tekst, ...powoduje to zanik uroku fredrowskiego języka, a także – co gorsze – końcowego morału*.

Jakiego morału do kaduka?? Fredro nie był moralistą, zwłaszcza przed trzydziestką, kiedy pisał tę sztukę. Finał komedii jest przy pozorach cnotliwości złośliwie cyniczny; dopiero w wydaniu pośmiertnym wprowadzono (w dość niejasnych okolicznościach) inny wariant zakończenia, poczciwy i sprzeczny z tonem całości. Zgroza jako wyraz intencji autora? Och, Boyu, wielki Boyu! Coś jednak ze swoich najpięk-

niejszych książek, *Obrachunki Fredrowskie*, poświęcił tłumaczeniu tropicielom moralnych wskazówek, *Boga, który rękę poda* i symboliki narodowych powstań, że wielkość Fredry nie na patosie polega, lecz na przenikliwości widzenia prawdziwych ludzi w śmiesznych sytuacjach, trochę żalonych, trochę sympatycznych, jak my, wtedy i teraz. I co, wszystko na nic? Znow się ktoś kaznodziejsko napina i w jednej z najpiękniejszych w naszej literaturze, owszem, niemoralnej jak diabli, komediowej pochwalie magnetyzmu i uroku gry miłosnej każe widzieć ostrzeżenie przed Sodomą i Gomorą?

Nie zawracaliśmy głowy recepcją *Męża i żony*, gdyby nie obrazowała ona czegoś, co wyraźnie wisi w powietrzu. Tragiczne losy XX wieku długi czas dość skutecznie immunizowały nas od zerowyjedykowych sądów, łopatologicznych interpretacji, demagogii jedynie słusznych prawd i zbawiennych recept. Aliści tęsknota do spiżowych słów i nieskalanie czystych idei trwała przecież w uśpieniu na dnie wielu głów. I budzi się tym żwawiej, im lepiej współgra z rządową propagandą. W szanującym się dzienniku czytam bombastyczne *Te Deum* na chwałę Donalda Trumpa, wyczekiwanego od dziesięcioleci... zbawcy chrześcijaństwa przed pogańską nawałą. Inna publicystka wywodzi, że genderowa klęska zaczęła się od... Chaplina, który stworzył obraz bohatera zniewieściałego i słabego, więc sprzecznego z rycerskim ideałem. Nie ma wstydu, każdą brednię da się głosić żwawo i bezkarnie. A skoro tak, to cóż miłszego niż wleźć na ambonę, zadąć w trąby, zapłonąć moralnym ogniem, napomnieć i potępić. Z miejsca człek czuje się lepszy, nieprawdaż?

◆
Koniec sezonu, czas podsumowań. W ankiecie miesięcznika „Teatr” jako jedno z najlepszych przedstawień 2016/2017 wskazałem *Sekretne życie Friedmanów* z Teatru Ludowego w Krakowie. Pora się wytłumaczyć, jako że nie jest to głośny spektakl. Trochę przez jego formę: to rzadko grany seans dla trzydziestu ledwie widzów przeprowadzanych przez dawną teatralną stolarnię w Nowej Hucie, gdzie zaaranżowano miejsca akcji.

Inspiracją i w znaczej mierze scenariuszem jest film dokumentalny Andrew Jareckiego

Capturing the Friedmans nagrodzony na Sundance i nominowany do Oscara. Arnolda Friedmana uczącego młodzież pracy na komputerze przyłapano na gromadzeniu wydawnictw z dziecięcą pornografią. Kursy prowadził w domu; podejrzanie, że były przykrywką dla pedofilii, zrodziło się bezzwłocznie. Po intensywnym przesłuchaniu kursantów aresztowano nauczyciela i jego najmłodszego syna. Obaj się potem przyznali w ramach amerykańskiego targowania się z wymiarem sprawiedliwości o niższy wyrok. Czy byli winni? Chyba nie, widzimy luki w oskarżeniu, tudzież potworną presję opinii publicznej na policję i sąd. Ale pewności nikt nam nie da. I nie o nią chodzi.

Wędrując korytarzami i salkami Stolarni, mamy jak na talerzu obróbkę oskarżonych: krzyżowe policyjne przesłuchanie, na którym być może pękły każdy z nas, dziewczęco niewinny. Gdzieś widzimy ich tylem, nagich, drżących z zimna; za chwilę założą im pomarańczowe kombinezony. Odruchy współczucia rodzą się automatycznie. Ale odsłaniają się kolejne rodzinne sekrety, nie tak przeraźliwe jak rzekome orgie z uczniami, wystarczająco jednak śliskie, odpychające, paskudne. Odpryski walki Arnolda z własnymi skłonnościami, toksyczne stosunki z bratem, molestowanie syna, dziwna, okrutna nie-miłość żony i matki wobec rodziny. I kolejne niedopowiedzenia, niejasności, niepewność, co jest prawdą, co kłamstwem i zemstą skrzywdzonych, a skrzywdzeni są tu wszyscy.

Chapeau bas przed zespołem Ludowego za nieprawdopodobną, sprzeczną z regułami zawodu powściągliwość. Aktor chce wiedzieć, czy gra postać dobrą czy złą, a przynajmniej jak ją poskładano z jednego i drugiego. Piotr Pilitowski (Arnold), Małgorzata Kochan (żona), Piotr Franasowicz (syn) nie pozwalają przypiąć postaciom jakichkolwiek łatek. Widz ma i współczuć im, i czuć do nich odrazę; odrzucać, ale przecież widzieć, że cierpią. Wokół zaś mamy dziennikarzy, policjantów, adwokatów, sędzię, reżysera filmu, którzy także są grani z tą cudną powściągliwością – tak, by bardzo dobrze przypominali nas, takich, jak sami siebie widzimy. Oni wszyscy uczciwie robią swoje, dokładają starań. Działają w zgodzie z sumieniem, mają wiele przemyśleń o potrzebie dobra i prawdy. Niektórzy jednoznacznie szkodzą. A wszyscy równo grzęzną w sprawie Friedmannów jak bezradne muchy w smole.

O czym jest spektakl? O ślepej – być może – wierze w niewinność i trucicielskiej sile wątpliwości. I o tym, jak wielkiej wrażliwości potrzeba, by stąpać w życiu tak, by nie sprowokować

lawiny krzywd i ofiar. I jeszcze – last but not least – o tym, jak trudno jest żyć w prawdzie. I jak łatwo pomylić prawdę z własną fantazją na jej temat. Tak mówi Marcin Wierchowski, reżyser osobny, niszowy i bardzo w przeszłości nierówny, któremu w tym sezonie należy się miejsce na najwyższym podium. Za naukę niesądzenia bliźnich, nieciskania kamieniami. Za brawurowe gaszenie tych wyższościowych uśmiezków, które goszczą na naszych facjatach grubo za często i grubo za tanim kosztem.

◆ Andrew Jarecki chciał na początku zrobić film o specyficznej profesji w Nowym Jorku: urodziny klaunów. Jednym z najbardziej wziętych okazał się David Friedman, najstarszy syn Arnolda. I z klaunady zrodziła się ta opowieść.

Skoro tak, to wspomnijmy na koniec, już pobieżnie, o jeszcze jednym sezonym, niszowym przedstawieniu z minionego sezonu. *Wbrew swej woli* to dyptyk: dwa monodramy przygotowane przez offową Grupę Supermarket. Najpierw Jakub Kamiński gra autentyczną spowiedź Calka Perechodnika, żydowskiego policjanta z Otwocka, który sam, upodlony własnym tchórzostwem, zaprowadził żonę i córkę do transportu. A potem jest przerwa i wśród widzów krąży Modest Ruciński. Zaprasza na salę, częstuje płynną czekoladą, zaczyna występ jak stand-up. Tylko treść nie pasuje. Gra Alexa Kurzema, żydowskiego chłopaka z Białorusi, który przeżył wojnę dzięki kosmicznemu szczęściu, gdy jeden z oddziałów lotewskich policjantów zrobił sobie z niego maskotkę. Oczywiście musiał nauczyć się patrzeć w milczeniu na trupy rodaków i posiąść jeszcze parę podobnych umiejętności. Grał w niemieckich filmach propagandowych, po wojnie pisał zaświadczenia dla swoich wujków, że byli dla niego dobrzy. A potem zwił do Australii i został klaunem. Jako klaun opowiada swoje losy.

Prawdziwa zgroza unieważnia frazesy. Odbiera mowę. Dopuszcza odreagowywanie czymś, co najwyżej tak od czapy jak klaunada. Może by tak pamiętali o tym moralisci za trzy pięćdziesiąt, zanim znów się rozpedzą?

Jacek Sieradzki

Marcin Wierchowski, Daniel Sołtysiński
SEKRETNE ŻYCIE FRIEDMANÓW inspirowany filmem Andrew Jareckiego **CAPTURING THE FRIEDMANS**. Reżyseria: Marcin Wierchowski, scenografia: Barbara Ferlak, kostiumy: Ewa Mroczkowska, muzyka: Urszula Chrzanowska. Premiera w Teatrze Ludowym w Krakowie 19 listopada 2016.